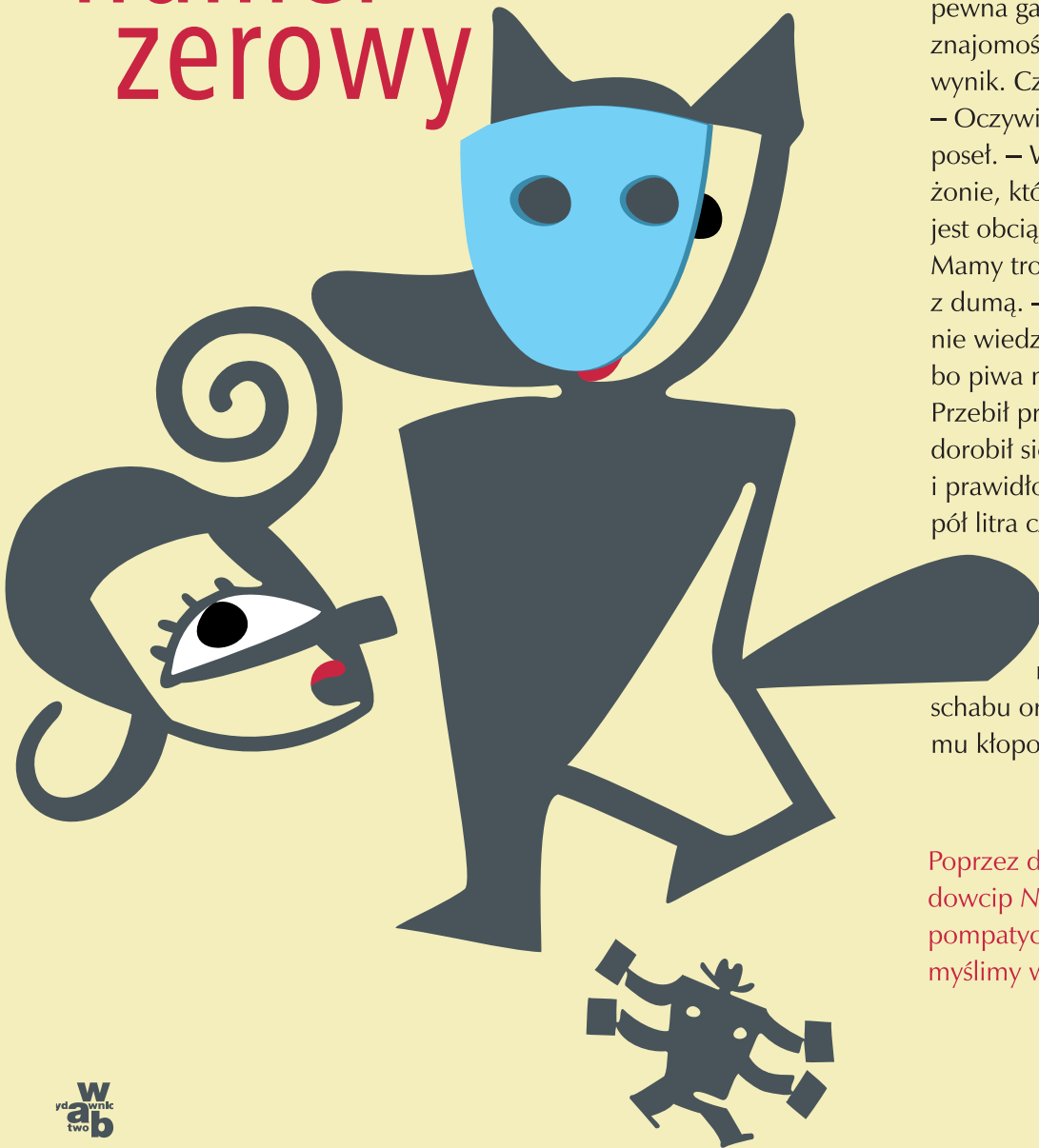


paulina  
**numer** Grych  
**zerowy**



– Mam pytanie do pośła Bukowskiego – powiedziała dziewczyna. – Niedawno pewna gazeta przeprowadziła test ze znajomości cen. Uzyskał pan najlepszy wynik. Czy robi pan zakupy?

– Oczywiście – potwierdził wywołany poseł. – W domu staram się pomagać żonie, która ze względu na moje zajęcia jest obciążona licznymi obowiązkami. Mamy troje małych dzieci – podkreślił z dumą. – Wracając do testu, nie wiedziałem, ile kosztuje piwo, bo piwa nie lubię...

Przebił przewodniczącego. Mocarny dorobił się tylko jednego dziecka i prawidłowo podał cenę zarówno pół litra czystej, jak i butelki

piwa. Sztandarowy katolik, a pewnie chleje! Za to

rynkowa wartość chleba, schabu oraz proszku do prania sprawiła mu kłopot.

fragment

Poprzez delikatną ironię i wyszukany dowcip *Numer zerowy* ośmiesza pompatyczną prawicę, o której dziś myślimy więcej niż wczoraj.

Marta Cuber

paulina  
numer **Grych**  
zerowy



paulina  
numer  
zerowy

# Grych



## Taki piękny skandal

Prowansja pachnie lawendą, rozmarynem i tymiankiem, a pola ziół ciągną się kilometrami. W uroczych wiejskich gospodach przy drewnianych stołach zjeść można świetne sery, specjały z warzyw czy smakowitą jagnięcinę. Toskania też brzmi ładnie, ale w tym roku Berg powiedział, że urlop spędzi w Prowansji.

Borek nie pachnie niczym szczególnym. W centrum wsi, przy sklepiku, czuć piwo i kwaśną woń taniego wina, bo czasami butelki wypadają z drżących rąk pijaczków. Bliżej krzaków, gdzie mężczyźni idą na stronę, śmierdzi moczem. Swoje odorki mają smętne krowy, stadka drobiu, kwiczące świny, zapchłone psy i ludzie. Berg mógł mówić o zapachach, ale niewiele czuł. Jego nos odbierał niebezpieczeństwo, spaleniznę, gaz lub rozpuszczalnik. Rozpoznawał świeżo parzoną kawę, mocne perfumy, czasami smród biedy czy strachu. Lata nałogu zniszczyły powonienie, które – mimo zdecydowanego ograniczenia ilości wypalanych papierosów – nigdy nie będzie takie jak kiedyś. Narzucił sobie ostry reżim antynikotynowy, więc jego płuca jeszcze przez godzinę mogły swobodniej

oddychać. Niecierpliwe ręce i usta musiały czekać aż godzinę. Wytrzyma. Musi wytrzymać.

Pod krzakiem bzu coś się poruszyło. Tak, już pora karmienia. Berg powoli wstał z wiklinowego fotela i poszedł do domu. W rondelku zostało jeszcze trochę kleiku ryżowego, który od rana zamienił się w budyniowatą pačkę. Berg dolał mleka, postawił garnuszek na kuchence i cierpliwie mieszał łyżką. Spróbował, czy nie za ciepłe. Dobrze. Z szafki wyjął pudełko z wizerunkiem kota. Po suchą karmę jeździł do miasteczka, bo sklepowa z Borka spojrzała na niego tak, jakby zobaczyła kosmitę, i powiedziała:

– Panie, kto by to kupował! Ludzie sami nie mają co żreć. Chleb, margarynę i dżem na zeszyt daję. Gdy renty dostaną albo coś z opieki, to płacą. Weź pan pasztetówkę.

Nie wziął. Podziękował grzecznie i wyszedł.

Rudy kot z pudełka uśmiechał się wrednie. Tamten też był rudy, puszysty i wielki. Miał swoje kocie sprawy, własne drogi, jakieś samiczki, jakieś polowania. Miał też chłopca w szafie.

*Uciekaj, bo ktoś idzie. Nie, kot może zostać, przecież to zwykły kot.*

Rudzielec, gdy zjadł, miłośnie ścigał niejedną kotkę albo toczył wiele bitew, biegł do starych, dębowych drzwi. Drapał delikatnie, więc chłopiec odsuwał plecy szafy i przekręcał klucz w zamku, a potem leżeli na wąskim łóżku w pomieszczeniu bez okien. Opowiadali sobie różne historie, jeden mrucał, a drugi półgłosem mówił o pięknej matce, zapracowanym ojcu i małej siostrzyczce. *Na urodziny dostałem prawdziwą piłkę futbolową. Kiedyś kopnąłem zbyt mocno, przeleciała do ogrodu sąsiadów i zbita szybę w oknie salonu. Tata gniewał się, zapłacił za szkodę, a prezent schował. Tamta kara była zrozumiała. Latem z moim*

*najlepszym kolegą Heńkiem lubimy pływać w Wiśle. To nasza największa rzeka, wiesz? Kot mruczał potwierdzająco. Trochę kłamał, bo łąził tylko do najbliższych wsi, więc Warszawy, odległej o setki kilometrów, nigdy nie odwiedził. W drodze do szkoły mijam dziewczynę. Ma na imię Zosia. Gdybyś zobaczył jej bardzo jasne, prawie białe warkocze... Pomieszczenie bez okien, ciasna, duszna klitka. Tamten, nieistniejący już świat: piłka, rodzice, siostrzyczka, Heńiek i Zosia. Dobrze, zwyczajne życie. Nie, nie opowiadał o wagonie, z którego wyskoczył. Ani o tym, że strzelali, a on biegł do utraty tchu. O reszcie kot wiedział, bo właśnie puszysty rudzielec pierwszy odkrył chudego chłopca ukrytego w stogu. Miauczał tak, że jego właściciel, pulchny ksiądz, odmawiający na wiejskich drózkach codzienną porcję modlitw, nie mógł dłużej rozmawiać z Bogiem.*

Berg, syn chłopca zza dębowych drzwi, przez lata żył w nieświadomości. Wojna była w książkach, na nudnych akademiach, w kinie i telewizji, ale w domu nie mówiono o tamtych czasach. Berg czuł, że rodzice skrywają jakąś tajemnicę, w nocy czasem budził go krzyk taty. W sypialni rodziców zapalało się światło, po chwili matka zamykała drzwi do pokoju Berga. Udawał, że śpi, chociaż nasłuchiwał w napięciu. Później, gdy już więcej wiedział, to dziwne ojcowskie wycie interpretował opacznie. Wstydził się za nich, w jego oczach byli starzy, a rodzice takich rzeczy robić nie powinni. Tamtej wiosny nocy z krzykiem było więcej. Któregoś razu wstał i na palcach podszedł do drzwi sypialni. Przez szparę zobaczył matkę siedzącą na brzegu łóżka, ojciec, półleżąc, z głową przytuloną do jej piersi, kwilił jak dziecko. Głaskała go po mokrych, zlepionych od potu włosach, monotonnym głosem szepcząc czule słowa: *to był sen... zły sen... jestem przy tobie... cicho... cichutko...*

Chyba nie tak wyglądał seks, więc Berg wycofał się, zawstydzony swoją ciekawością i tym, co zobaczył. Przez lata nic nie wiedział o Heńku, rudym kocie i kryjówce na wiejskiej plebanii. Aż do tamtej wiosny... Do zupełnie innej... szafy.

Berg otrząsnął się jak pies po kąpieli, wspomnienia opadły niczym krople wody i wrócił do rzeczywistości. Wiejski kot, dzikus, którego oswajał od dwóch tygodni, czekał na posiłek przy starej stodole. Gdy trójkolorowy mruczek zobaczył mężczyznę z rondelkiem w jednej i pudełkiem w drugiej dłoni, ukrył się pod krzakiem bzu. Berg nalał, nasypał, a potem, pieszczotliwie przemawiając, usiadł na kamieniu kilka metrów od talerzyków. Kot powoli, z kocią gracją i ostrożnością, podszedł do podanego posiłku. Chleptał kleik, chrupał mięsne paszteciki, znowu chleptał. Brzuch rósł. Ile on może zjeść? Nie zostawił ani kropli, ani kawaleczka i – po szybkim oblizaniu łapek oraz pyszczka – ruszył w kierunku drewnianego ogrodzenia. Sukces! Przeszedł powoli obok kamienia, a jeszcze kilka dni temu uciekał w popłochu.

– „Dziękuję” kto powie? – zapytał Berg, wstając.

Zamknął furtkę na skobel. Nie wiadomo po co, przecież wystarczyło z drugiej strony włożyć rękę przez sztachety, by sobie otworzyć. Przesunął fotel pod daszek nad tarasem, poduszkę z siedziska zabrał do domu. W nocy miało padać.

Z talerzem kanapek i kubkiem herbaty zasiadł przed telewizorem. Posilając się, przerzucał kanały. Nie miał wielkiego wyboru: trzy państwowe, jeden komercyjny. Dziwił się jednak, że w wiosce zabitej dechami, wśród lasów i jezior, telewizor tak dobrze odbiera na zwykłej antenie. Niestety, program jego stacji był ledwo widzialny, ekran

śnieżył, głos zanikał, czasami przebijało się znajome logo lub reklamowy dzingiel. Niestety? I tak jak zwykle latem zaczęli puszczać powtórki, on zaś uważnie, chociaż bez specjalnej przyjemności, podpatrywał robotę konkurencji. Zgrzebni byli, prowincjonalni, chociaż ostatnio – co bez cienia zawiści zauważył – podnieśli poziom. Był człowiekiem mediów, a pozycja i pieniądze pozwalały mu na radość także z cudzych sukcesów.

Spojrzał na drewniany zegar ścienny. Dwudziesta pierwsza piętnaście, więc kolejny, tym razem prywatny, sukces w walce ze zgubnym nałogiem. Odłożył pilota i z lubością sięgnął po papierosy. Zaciągnął się głęboko. Pałac, ponownie zaczął bawić się przyciskami. Konkurencja nadawała program z udziałem polityków i publiczności. Berg przełączył w trakcie trwania cyklicznego show, ale pamiętał, że w tytule było słowo „pytania”. Trudne? Głupie? Niewygodne?

Rozmawiali – na żywo – o paradzie gejów. Na dużym ekranie pokazano fragmenty ulicznej demonstracji, podczas której doszło do przepychanek między uczestnikami marszu tolerancji a skinopodobną młodzieżą. Było rzucanie jajami, pomidorami oraz słowami, które telewizja, ze względu na dobre obyczaje i odpowiednią ustawę, musiała wymazać. *Wy, piii, pedały, piii, piii...*

Dwaj zaproszeni do studia goście, posłowie o poważnych minach, siedzieli w fotelach na podwyższeniu. Prowadzący program, głupawo uśmiechnięty, łysiejący dziennikarz z mikrofonem i notatkami w ręku, miotał się po podeście lub schodził niżej, do publiczności. Przewodniczący klubu parlamentarnego, a zarazem lider partii, komentując pokazaną relację, zgromił organizatorów parady. Mówił jak zwykle o wartościach, prawie naturalnym i przy-

musowej europeizacji. Mocny głos wielkiego mężczyzny o niezachwianych poglądach. Mocna szczeka wyrzucająca ostre słowa. Nakręcał się. W wywodach doszedł, jak zawsze, do Holandii, zabijania nienarodzonych i eutanazji.

Komuś z publiczności, przy wydatnej pomocy prowadzącego, udało się przerwać monolog. Padło zagmatwane pytanie o agresywne zachowanie przeciwników parady, ich podejrzenie nazistowski wygląd oraz znak oznajmiający: ZAKAZ PEDALOWANIA, wcale nie dotyczący rowerzystów. Kamera zrobiła najazd: okrągła biała tablica o czerwonym brzegu i takiej samej linii biegnącej przez środek, która przekreślała symbolicznie przedstawione postacie w pozycji domyślnie homoseksualnej.

– Szanowni państwo – zaczął drugi poseł. Był drobniejszy i nosił okulary. – Nie znam osób, które pańskim zdaniem głoszą poglądy prawnie zakazane. Wielu mężczyzn, nawet tu zgromadzonych, ma bardzo krótkie włosy, a zapewne nie są faszystami. Nie oceniamy więc ludzi, korzystając z tak mglistych przesłanek jak wygląd lub strój.

Poseł wymownie spojrzął na miejsca zajmowane przez przedstawicieli stowarzyszenia gejów i lesbijek.

– Przyznaję, że zachowanie przeciwników parady było agresywne – kontynuował. – Ja zaś nie pochwalam takich metod wyrażania opinii – podkreślił. – A jeżeli chodzi o prezentowany znak... Cóż, uważam, że jest po prostu wulgarny.

Do dyskusji włączył się przewodniczący klubu. Chyba słowa partyjnego kolegi były zbyt łagodne, bo mocarny zaczął prowokować, geje i lesbijki nie pozostawali dłużni. Wkrótce w telewizyjnym studiu zapanował harmider.

– Ale burdel – ucieszył się Berg, wiedząc, jak trudno będzie uspokoić uczestników.

Wybrali najłatwiejszy sposób: reklamy. Po przerwie sytuacja w studiu została już opanowana.

– Przejdźmy do innych tematów – wesoło zaproponował prowadzący. – O, tu pani się zgłasza.

– Mam pytanie do posła Bukowskiego – powiedziała ładna dziewczyna. – Niedawno pewna gazeta przeprowadziła test ze znajomości cen. Uzyskał pan najlepszy wynik. Czy robi pan zakupy?

Bukowski. Drobniejszy parlamentarzysta nazywa się Bukowski. Marcin? Maciej? Michał? Tak... Berg zaczął coś kojarzyć. Duża żółta koperta...

– Oczywiście – potwierdził wywołany poseł. – W domu staram się pomagać żonie, która ze względu na moje zajęcia jest bardzo obciążona licznymi obowiązkami. Mamy troje małych dzieci – podkreślił z dumą. – Wracając do testu, nie wiedziałem, ile kosztuje piwo, bo piwa nie lubię...

Przebił przewodniczącego. Mocarny dorobił się tylko jednego dziecka i prawidłowo podał cenę zarówno pół litra czystej, jak i butelki piwa. Sztandarowy katolik, a pewnie chleje! Za to rynkowa wartość chleba, schabu oraz proszku do prania sprawiła mu kłopot.

Mikrofon powędrował do innych rąk. Znowu pytanie do Bukowskiego:

– Czy lubi pan blondynki? – chciała wiedzieć brunetka.

– Przepraszam, ale nie rozumiem – zdziwił się poseł w okularach. – Kilka minut temu rozmawialiśmy o problemach etycznych, a teraz...

– Taka jest konwencja naszego programu – wyjaśnił radośnie prowadzący. – Publiczność zadaje pytania na różne tematy. Proszę odpowiedzieć.

– Dobrze. Zmuszacie mnie państwo do bardzo osobistych wyznań – westchnął poseł Bukowski, lecz zaraz

uśmiechnął się. – Cóż, moja żona ma jasne włosy i... – zawiesił głos. Był lekko zażenowany. – Tę konkretną blondynkę bardzo kocham, lubię i cenię.

Dostał brawka. Nawet kilku gejów klaskało. Berg zastanawiał się, czy moderator pokazał im kartkę z odpowiednią komendą? Może i nie. Bukowski, w przeciwieństwie do ponurego lidera, sprawiał sympatyczne wrażenie. Pewnie przez kontrast: każdy wyglądał lepiej przy mocarnym typie o nieco tępej, grubo ciosanej twarzy i krowich, brązowych oczach.

– Czy pańska żona jest naturalną blondynką? – padło kolejne pytanie.

Zgłupieli. Berg, podobnie jak poseł, też się pogubił. Publicystyka czy program o urodzie? Coś kombinują... Duża żółta koperta?

Bukowski, w bezradnym geście, lekko uniośł rozłożone ręce.

– Tak – potwierdził. – Chociaż niedawno była u fryzjera i zrobiła takie... – szukał słowa. – Takie jaśniejsze paski – dokończył, unosząc lewą dłoń ku własnym włosom.

– Pasemka – dopowiedział ktoś.

– Balejaż – damski głos lepiej znał się na tajnikach kobiecej urody.

Bukowski kiwnął głową.

– Mówi pan, że żona jest blondynką – powiedział prowadzący. – Proszę spojrzeć na ekran i wyjaśnić, kim jest ta kobieta. Czy to pańska żona, którą – zajrzał aktorsko do notatek – tak pan kocha i ceni?

Szum w studiu. Oni już patrzyli. Berg nie czekał. Berg wiedział. Po kilku sekundach telewizzowie też mogli zobaczyć.

Namiętny pocałunek. Ciemne, długie włosy kobiety zasłaniały jej twarz, ale oblicze pośła, bez okularów, z przy-

mkniętymi oczami, było rozpoznawalne. Później pozycja na kanapie, ona na nim, dłoń na piersi, pierś – zgodnie z ustawą – zamazana. Kotłujące się ciała. Ekstaza.

Przebitka na studio. Bukowski, jak sparaliżowany, patrzył na ekran z otwartymi ustami. Następne zdjęcia. Twarz kobiety okryta włosami lub odwrócona od obiektywu, a nieprzyzwoitości zamglone. Domyślcie się, telewizzowie.

– To skandal! – wrzasnął mocarny. – Prowokacja! Fotomontaż! – zapłuł się, ale nie wytarł ust, więc kropelki śliny lśniły na mięsistych wargach, co oczywiście pokazano w okrutnym zbliżeniu.

Poseł Bukowski podniósł się z fotela i jak automat zaczął iść w stronę kamerzysty, odprowadzany słabym pomrukiem publiczności. Ekran telewizora pociemniał, a po kilku sekundach wesoła melodyjka oznajmiła początek walki ajaxa, cillita i domestosa.

Nie minęła jeszcze pora końca programu, ale co tam. Berg wyłączył fonię i sięgnął po papierosa, ze szczerym postanowieniem, że odliczy go od jutrzejszej porcji. Był zaskoczony przebiegłością autorów programu. Zaczęli od gejów. Pozwolili się posłom wygadać, a idiotyczne pytania podstawionych pańienek doprowadziły do wielkiego finału. Piękny skandal! Byłoby lepiej, gdyby mocarny miał romans. Wredny facet, ale pewnie do bólu ostrożny, chociaż w czasie wywiadów lypał na dziennikarki wielkimi ślepiami. A Bukowskiego ktoś... Wkręcił. Tak, to było odpowiednie słowo. Kobieta należała do spisku, bo na żadnym zdjęciu nie pokazywała twarzy. Resztę owszem. Berg pamiętał, że miała ładne, duże cycki, sprytnie ściśnięte przez gorsecik. Bez silikonu, przy tym rozmiarze, musiały być podtrzymywane, by nie oklapły i prezentowały się tak ponętnie. Zwłaszcza na zdjęciach. Zwłaszcza w telewizji.

Rozmyślania przerwał dzwonek telefonu. Najgłupszy dźwięk, jaki mógł usłyszeć. Berg sięgnął po komórkę, spojrzął na wyświetlacz i przycisnął guziczek z symbolem słuchawki. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, po drugiej stronie odezwał się dobrze znajomy, nerwowy głos:

– Szefie, widział szef?

– Kulturalni ludzie mówią „dobry wieczór” i przedstawiają się – pouczył.

Cisza. Długa cisza. Berg uśmiechnął się, oczyma wyobraźni widząc stropienie na twarzy młodego mężczyzny.

– Dobry wieczór, mówi Paweł Woźniak – powiedział wolno asystent. – Chciałem zapytać, czy szef widział dzisiejsze wydanie programu konkurencyjnej stacji? Mam na myśli...

– Widziałem – przerwał Berg. – Czekam na dalszy ciąg, bo teraz są reklamy.

– No właśnie. On, ten poseł, wyszedł ze studia. Mówiłem, szefie, żeby to wykorzystać... Taki materiał z ręki wypuściliśmy. Taki materiał... – narzekał. – Trzeba go było zaprosić, że niby te wybory do parlamentu, tego no... do tej Europy... A my wtedy te zdjęcia... Mało kto by na nich głosował... Taki m-materiał... – Paweł już nie cedził słów. Znowu był nerwowym, nieco jękającym się chłopcem. Berg, wspaniałomyślny Berg, pozwolił na gderanie. – Szefie, jest tam szef? – zapytał asystent po dłuższej chwili.

– Piłeś? Strasznie bełkoczesz.

– Ja nie piję – oburzył się Paweł.

– Zastanawiam się, synku, gdzie ty dyplom kupiłeś? Na stadionie czy w internecie?

– No co szef. Uniwerek skończyłem, szef przecież wie. Stypendium ministra miałem i...

– Jaki minister, tacy stypendyści – przerwał Berg. – Z bólem przyznaję, że niczego cię nie nauczyłem. Staralem

się, ale materia była zbyt oporna. Czy wiesz, drogi Pawełku, gdzie znajduje się Urząd Pracy?

– Wiem.

– To dobrze, bo gdy wrócę z urlopu, zwolnię cię z posady – postraszył.

– Szefie – jęknął asystent. – Ja... ja... ja...

– Nie, dziecielinku. Nie jaja. Mój program nie zajmuje się kutasami polityków, lecz ich mózgami, o ile je mają. Poglądy, synu, poglądy, a nie to, czy poseł pieprzy kogoś na boku.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Berg pozwolił na sformułowanie riposty. Miał nadzieję, że bystrej.

– Szefie, ale proszę zauważyć, że partia, do której należy Bukowski, zajmuje się także naszymi kutasami i naszym pieprzeniem – szeptem powiedział Paweł. Był bardzo grzecznym chłopcem z dobrego domu, więc rzadko używał wulgarnych słów. – No, nie naszymi bezpośrednio... Mam na myśli wymiar społeczny – dokończył niepewnie.

Berg odetchnął z ulgą. Nerwowego asystenta wybrał z setki kandydatów, z których ponad połowa wydawała się o wiele lepsza niż ten zezowaty, chudy okularnik.

– Chyba cię jednak nie zwolnię – stwierdził łaskawie.

– Fajnie. A jak Prowansja? Lawenda pachnie?

– Jak cholera. Całe pola lawendy. Coś jeszcze chcesz wiedzieć?

– Nie. Dobrej nocy, szefie. Proszę tyle nie palić – dokończył ciepło. – Aha, pani Małgosia ma kilka dni wolnego, więc chce pana odwiedzić.

– Zadzwoń do niej. Dziękuję.

Pożegnali się niemal czule. Od początku współpracy, od pierwszego spotkania, prowadzili grę: Berg był surowy i wymagający, Paweł zaś posłuszny.